

Wojenne pranie mózgów

27 kwietnia 2023

Fenomenem naszych czasów jest metodyczne (świadome, celowe i zorganizowane) modyfikowanie przy użyciu różnych form perswazji i presji psychologicznej dotychczasowych przekonań ludzi na rzecz nowych sposobów myślenia, odpowiadających zapotrzebowaniu władzy politycznej.



Warto zauważyć, że instytucje takiej władzy występują w wielu strukturach społecznych (państwo, partie polityczne, kościoły i in.), wykraczając także poza granice państw. Ich celem jest radykalne przekształcenie umysłów, zmieniające ich właścicieli w marionetki, rodzaj ludzkich robotów, w więźniów jedynie słusznej sprawy, a nawet ubezwłasnowolnionych niewolników.

Zjawisko to zyskało miano „prania mózgu”. We wszystkich skojarzeniach wywołuje ono głęboki lęk, gdyż grozi utratą wolności, a nawet tożsamości. Ludzie zazwyczaj wyobrażają sobie siebie jako jednostki wolne, rozumne i zdolne do podejmowania samodzielnych decyzji. Tymczasem okazuje się, że wszyscy jesteśmy podatni na rozmaite przymusowe perswazje i perfidne manipulacje psychologiczne, wywołujące głębokie zniszczenia w osobowości, często o charakterze nieodwracalnym.

Termin „pranie mózgu” pojawił się w okresie wojny koreańskiej, kiedy ukryte pod tą nazwą techniki zastosowano wobec żołnierzy amerykańskich, wziętych do niewoli. Część zwolnionych z obozów jenieckich sprawiała wrażenie przesiąkniętych ideologią wroga. Przypominało to zjawisko więźniów zmuszanych do wielbienia swoich prześladowców. Opisał je współpracownik CIA i korespondent wojenny Edward Hunter (1902-1978), najpierw w artykule, a potem w książce Brainwashing (Pranie mózgu). Przypisał ten „wynałazek” chińskim komunistom, choć tradycje „prania i oczyszczania umysłu” sięgają czasów Meng K’o,

znanego na Zachodzie jako Mencjusz, konfucjańskiego myśliciela z IV wieku p.n.e.

W potocznym rozumieniu „pranie mózgu” kojarzy się z magicznymi „psychotechnikami”, stosowanymi w sektach religijnych, przyjmujących całkowitą kontrolę nad umysłami wyznawców. Pokazowe procesy byłych działaczy komunistycznych w stalinowskim Związku Radzieckim, w których składano gorliwą samokrytykę i samooskarżenia, zaprzeczając całemu swojemu dorobkowi, także przypisywano tajemniczym zabiegom, jakie reżim totalitarny stosował wobec własnych obywateli, rzadziej obcokrajowców.

W Stanach Zjednoczonych doby makkartyzmu zjawisko „prania mózgu” było ewidentnym wyobrażeniem „czerwonej zarazy” i służyło podsycaniu powszechnej wrogości wobec komunizmu. Odpowiadało ono dawnym wyobrażeniom czarów i opętania przez demony, a jednocześnie doskonale odwracało uwagę od rozmaitych „grzechów” samych Amerykanów, na przykład od tragicznych skutków zrzućenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Zarzut „prania mózgu” pozwalał Ameryce przerzucić odpowiedzialność na kogoś innego i oddalić potrzebę krytycznego spojrzenia na siebie.

Z czasem zjawisko „prania mózgu” zaczęto przypisywać skutkom rozmaitych form masowego zastraszania, łącznie ze stosowaniem terroru. Znalezienie się w sytuacji nadzwyczajnej, w okolicznościach skrajnego ryzyka, brutalnego znęcania się i dręczenia, zagrożenia dla życia i zdrowia, utraty samostereowności w zderzeniu z wyrafinowaną technologią degradacji człowieczeństwa, może doprowadzać ludzi do rozpacz, ale i destrukcji psychicznej.

Literatura wojenna od dawna dostarczała spostrzeżeń, dotyczących rozmaitych syndromów, popadania weteranów i kombatantów a to w rozstrój nerwowy, a to w stres wojenny, nie dając sobie rady z wyjaśnieniem istoty tych zjawisk. Całkiem współcześnie, w następstwie interwencyjnych wypraw Zachodu do

Iraku i Afganistanu, także w odniesieniu do polskich żołnierzy powracających z egzotycznych ekspedycji i „wypraw po skarby”, zaczęto stosować nazwę „zespołu stresu pourazowego”. Traumatyczne doświadczenia wojenne zarówno u żołnierzy, jak i cywilów doprowadzają do licznych zaburzeń osobowości o charakterze nerwic i psychoz.

Problem nie sprowadza się jednak do kryzysu osobowości poszkodowanych. Oznacza raczej zatrważający wzrost podatności na sugestie propagandowe tych, którzy stosują te zabiegi. Mają one często charakter swoistego „gwałtu psychicznego” w imię nowych, jedynie „poprawnych” wartości i wzorów zachowań. Zorganizowane i sterowane przez państwo ogłupianie całych społeczeństw zaczęło się w systemach totalitarnych, ale sięgnęło także na masową skalę demokratycznego Zachodu.

Obecnie jesteśmy świadkami stosowania pojęcia „prania mózgu” w różnych sytuacjach, kiedy chcemy podkreślić dosadny charakter prób wpływania na umysły innych nie tylko poprzez nachalną propagandę, ale także przez natarczywą reklamę, manipulacje medialne, zideologizowane szkolnictwo, fanatyczną religię, a nawet system leczenia w psychiatrii czy ginekologii, oparty na przykład na tzw. klauzulach sumienia.

Brutalizacja wojny ideologicznej

Brutalizacja walki ideologicznej rzuca ponury cień na współczesne stosunki międzynarodowe. To, co było wspomnieniem „zimnej wojny”, na naszych oczach odżyło w nowej postaci. W ramach „modernizacji” społeczeństw, które wyzwoliły się spod ucisku systemów totalitarnych, maszyny polityczne i propagandowe świata zachodniego od trzech dekad inspirują i organizują systematyczną akcję „nawracania” obywateli państw Europy pokomunistycznej, w tym państw poradzieckich, na jedynie słuszne poglądy. Zachodowi udało się, mimo własnych rozmaitych ułomności, przekonać do swoich „mitycznych” liberalnych wartości wielkie masy ludności, zauroczone magią

„wolnego świata” i poddane wyrafinowanym formom kontroli.

W związku z wojną na Ukrainie pojawiło się zjawisko intensyfikacji zbiorowego „prania mózgów”, polegające na narzucaniu na niespotykaną dotąd skalę fałszywych filtrów postrzegania sytuacji. Wiedzę opartą na faktach zastąpiła wiara w prawdy objawione przez „przywództwo światowe”. Stany Zjednoczone uznały, że mogą nie tylko zmieniać afiliacje geopolityczne rządów, ale organizować w skali międzynarodowej opinię publiczną według swojej narracji i swojego scenariusza.

W odróżnieniu od wielu konfliktów na świecie, w przypadku tej wojny postawiono na rozbudzenie niebywałych odruchów altruistycznych. Na niespotykaną skalę wywołano u ludzi dzięki nowym technologiom przekazu, namowy i perswazji, a także indoktrynacji, potrzebę humanitarnej lojalności i emocjonalnej bezinteresownej solidarności wobec Ukrainy. Nie miało żadnego znaczenia to, że państwo ukraińskie nie ma wiele wspólnego z demokracją, praworządnością czy ochroną praw człowieka. Że w sensie cywilizacyjnym, jak wskazywał choćby Samuel Huntington, należy do całkiem innej bajki i że samo skazało się na konfrontację z potężnym sąsiadem. Wybuch entuzjazmu prowojennego przeszkodził we właściwym rozeznaniu sytuacji i podjęciu prób zażegnania eskalacji. Mało kogo obchodzi prawda o tej okrutnej wojnie, liczy się pokonanie za wszelką cenę agresora w imię „wyższych” interesów i wartości.

Wszystko albo nic

Co ciekawe, postawy ludzkie w Polsce i państwach solidarnych z Ukrainą determinuje charakterystyczna dla totalitarnych reżimów skłonność do myślenia i działania w kategoriach skrajności „wszystko albo nic”. Bezkompromisowość i nieustępliwość stały się synonimem „zbiorowej mądrości”, bez względu na straty wojenne i cierpienia ludzkie. Kto wie, czy następne generacje przyznają rację dzisiejszym politykom? Jeśli koszty zaangażowania w wojnę przekroczą wytrzymałość

społeczeństw, cała ukraińska awantura przybierze miano zawinionej przez szaleńców katastrofy.

Świadomą manipulacją była internacjonalizacja wojny na Ukrainie. Traktowana przez Węgry w kategoriach porachunków między dwoma słowiańskimi narodami, w opinii manipulatorów zachodnich stała się niemal „powszechną wojną demokracji” z „kremłowską autokracją”. Z bezmyślnego zawołania „to jest nasza wojna” uczyniono probierz identyfikacji po jedynej właściwej stronie. Wojna stała się pretekstem do nadużyć politycznych i gospodarczych, wprowadzania zamętu poznawczego, obłudnego stosowania cenzury, a nawet ograniczania dostępu do niepokornych mediów.

Wmówiono ludziom, najpierw rządzącym, a potem masom, że Polacy muszą wspierać Ukrainę nawet kosztem własnego bezpieczeństwa, nie mówiąc o ogromnych wyrzeczeniach materialnych, dyskomforcie psychologicznym i narastającej niepewności. „Pranie mózgu” przybrało z jednej strony formę masowej akcji dezinformacyjnej na temat źródeł narastającego konfliktu na Ukrainie, poczynawszy od tzw. pomarańczowej rewolucji. Ograniczenie rosyjskich pretensji do odbudowy wpływów mocarstwowych stało się podstawą zachodniej krucjaty na rzecz „derusyfikacji” przestrzeni poradzieckiej.

W imię szerzenia wolności i demokracji dopuszczalne stały się wszelkie środki presji psychologicznej na rzecz pozbycia się trucizny imperialistycznych zapędów Rosji. Obecnie nawet studenci stosunków międzynarodowych nie przyjmują do wiadomości tego, co kilka lat temu ujawniła amerykańska dyplomatka Victoria Nuland na temat wielomiliardowego (w dolarach) zaangażowania USA na Ukrainie. Mało kto zna też treść porozumień mińskich i nie zastanawia się, dlaczego władze w Kijowie nie zostały rozliczone z ich zaniechania. Najlepiej wszystkie zarzuty skierować przeciwko Rosji i obwinić jednoznacznie Putina, co w sposób oczywisty zwalnia pozostałych uczestników konfliktu z jakiejkolwiek odpowiedzialności.

Z drugiej strony w przestrzeni politycznej i medialnej od 2008 r. funkcjonuje niedorzeczne ostrzeżenie, sformułowane przez ówczesnego prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi, że Rosja uruchomi swoją „teorię domina”, atakując kolejne wschodnioeuropejskie, a potem i środkowoeuropejskie państwa. Przy czym ani słowa o tym, że w jej pobliżu Amerykanie zaczęli wtedy budować i umacniać swoją strefę wpływów. Obecnie ukraińscy politycy szantażują całą zachodnią część Europy, że jeśli Ukraina upadnie, to rosyjskie czołgi będą wcześniej czy później jechały w kierunku Warszawy, Wilna, Tallina czy Rygi. Trzeba robić wszystko, by objąć strachem przed rosyjską inwazją wszystkie europejskie społeczeństwa i ich elity. Niezależnie od tego, jak rzeczywiście zachowuje się Rosja i jaką ma doktrynę strategiczną.

Dla udowodnienia absurdalności trwającego „prania mózgów” wystarczy zapytać, jak rozwijałaby się sytuacja w Europie Wschodniej, gdyby amerykańscy planiści wojenni nie wybrali za swój cel ekspansji w przestrzeni poradzieckiej. Państwa i ich społeczeństwa mają prawo do stanowienia o sobie, w tym o własnych afiliacjach sojuszniczych, ale nie jest to norma imperatywna i absolutna. Muszą bowiem liczyć się z własnymi możliwościami, a przede wszystkim zdolnością do pokojowego ułożenia się z sąsiadami. Mając na uwadze wrażliwość strategiczną Rosji trudno było się spodziewać, że nie zareaguje ona gniewnie na zbliżanie się do jej granic sił atlantyckiego hegemonu i dowodzonego przez niego sojuszu.

Podsycanie nastrojów nacjonalistycznych i antyrosyjskich na Ukrainie, budowanie klimatu nieprzejednania, opartego na dozbrajaniu ukraińskiego wojska, ćwiczeniach i szkoleniach żołnierzy, a przede wszystkim „majaczenie” o możliwości zdegradowania zdolności militarnych Rosji, doprowadziło do całkowitej klęski opcji pojednawczej. Nie byłoby wojny na Ukrainie, gdyby szeroko pojęty Zachód ze Stanami Zjednoczonymi na czele włączył się aktywnie i uczciwie w proces pokojowy po sukcesie wyborczym Wołodymira Zełenskiego w 2019 r. USA

zamiast wspierać kręgi nacjonalistyczne i skrajnie prawicowe mogły udzielić skutecznego wsparcia samemu Zełenskiemu i przekonać go do porozumienia z Putinem. Zdaniem brytyjskiego rosjoznawcy Richarda Sakwy, wystarczyło dla zawarcia pokoju z Rosją wypowiedzenie pięciu słów: „Ukraina nie przystąpi do NATO”.

Ukraina ofiarą USA

Nie trzeba być wytrawnym analitykiem, aby nie dostrzec absurdu amerykańskiej strategii, która została narzucona wspólnocie euratlantyckiej. Ukraina nie jest przecież istotnym państwem dla bezpieczeństwa Europy Zachodniej, a tym bardziej dla USA. Można doceniać aspiracje Ukrainy i jej społeczeństwa co do integracji z Zachodem, ale trzeba też uświadamiać jej realne możliwości i długą drogę do sfinalizowania tego procesu. Postawienie na szybki i bezwarunkowy akces oraz związanie ze strukturami zachodnimi okazało się nie tylko niebezpieczną i ryzykowną grą, ale skończyło się tragicznie dla samej Ukrainy. Jej elity i obywatele padli ofiarą oczarowania mitologią szczęśliwego i zamożnego Zachodu, który bezinteresownie podzieli się z nimi swoim szczęściem i dobrobytem. Naiwność nie tłumaczy szkód, jakie przywódcy ukraińscy zgotowali swojemu narodowi. Ukrainę czeka więc nie tylko czas powojennych rozczarowań, ale i przykrych rozliczeń.

Katastrofę wojenną wywołało zaślepienie części elit amerykańskich, a przede wszystkim wielu urzędników i polityków w departamentach stanu i obrony, w gremiach kierowniczych NATO, licznych komentatorów medialnych oraz doradców i asystentów urzędującego prezydenta Bidena. Amerykanie – jak nikt inny – mający swoje „żywotne interesy” w bezpośrednim sąsiedztwie na półkuli zachodniej i bogate doświadczenia z reagowaniem na zagrożenia stamtąd płynące, mogli przecież łatwo przewidzieć, jaka będzie odpowiedź Rosji, warunkowana jej egzystencjalnym zagrożeniem. Ostrzegał przed nią w 2008 r. ówczesny ambasador USA w Rosji i obecny szef CIA William

Burns, porównując przeciąganie Ukrainy na stronę zachodnią do przekroczenia „najbardziej czerwonej z czerwonych linii”, istotnych dla rosyjskiego istnienia.

Rezultatem głupoty i ślepoty rządzących może być potęgujące się otępienie i marazm. Nie widać z żadnej strony mądrego rozwiązania. Nie ma gwarancji, że militarne rozwiązanie konfliktu przyniesie upragniony pokój. Dlatego warto przytoczyć słowa Benjamina Abelowa, autora wydanej po polsku broszury pt. Jak Zachód wywołał wojnę na Ukrainie (Wrocław 2023), aby przestać się oszukiwać i wszcząć jak najszybciej pokojową inicjatywę dyplomatyczną w skali międzynarodowej. „Decydenci w Waszyngtonie i europejskich stolicach wraz ze zniewolonymi, tchórzliwymi mediami, które bezkrytycznie propagują ich nonsensy – stoją teraz w beczce lepkiego błota. Byli na tyle głupi, by tam wejść, teraz niech znajdą w sobie dość mądrości, by się wydostać, zanim przewrócą beczkę, by wylewające się z niej błoto zalało całą resztę. Trudno to sobie wyobrazić”.

Żadna diagnoza sytuacji międzynarodowej nie będzie prawdziwa ani obiektywna, jeśli nie uwzględni się w niej i nie nazwie po imieniu wszystkich tendencji ekspansjonistycznych i dominacyjnych we współczesnym świecie. Profesor Zbigniew Rau i jego ministerialni asystenci powinni to wiedzieć, pisząc tekst jego ostatniego sejmowego wystąpienia. Inaczej każdy rozgarnięty obserwator dostrzeże ogromny dysonans w wartościowaniu „dobrych” i „złych” imperializmów. Poza tym deklarując wolę osiągnięcia pokoju, warto pamiętać o starej przestrodze, że poprzez zawziętą walkę o pokój, doprowadzimy do wzajemnego wyniszczenia i zagłady. A w ślepej solidarności z reżimem kijowskim „będziemy walczyć do ostatniego Ukraińca”.

Ze względu na rosnące koszty zaangażowania wojennego Polski przynajmniej niektóre siły polityczne powinny jak najszybciej dokonać rewizji dotychczasowego stanowiska, zgodnie z rosnącymi oczekiwaniami społecznymi. Popełniono kardynalny błąd, stawiając wszystko na jedną szalę. Włączanie Polski w

wojny Zachodu (czy to w Iraku, czy w Afganistanie) nie przyniosło żadnych korzyści. Podobnie skończy się z udziałem w wojnie na Ukrainie kosztem swoich obywateli, rozregulowania gospodarki i utraty samosteroowności. „Afera zbożowa” pokazuje, jak łatwo było wpaść w pułapkę „ogłupienia zbiorowego”, bez kalkulacji ryzyka własnych strat i upokorzeń swoich obywateli.

Paradoksem polskiej polityki jest oddanie jej w służbę amerykańskiego hegemonu, wbrew doświadczeniom, racjonalnemu rachunkowi i zdrowemu rozsądkowi. Nie jest poważnym państwem, którego elity rządzące i służebni komentatorzy podkreślają, że największym osiągnięciem polskiej dyplomacji jest gorliwa realizacja interesów amerykańskich. Rzekomo bezdyskusyjnie należy się ona sojusznikowi, który jako jedyny może zagwarantować bezpieczeństwo Polski. Może więc warto zamiast upiornych rojeń o nieprzewidywalnej unii polsko-ukraińskiej i powrocie do dawnego wielonarodowego modelu państwowości, zastanowić się nad formalnym stowarzyszeniem „na dobre i złe” z uwielbianym przez warszawski establishment polityczny Imperium Americanum, mimo dzielącej nas „Wielkiej Kałuży”?

Autorstwo: prof. Stanisław Bielen

Źródło: MyslPolska.info